

ILUSTROWANY PRZEGLĄD



„GASTRONOMICZNY”

Człowiek uczy się całe życie, za wyjątkiem lat szkolnych.

“Dwudziestolatki, dwudziestolatki to ja i Ty, to właśnie my...”- czyli 20 lat IPG i 60. numer

20 lat minęło jak jeden dzień, a jednak... Jeszcze nie tak dawno (aczkolwiek nie za mojej kadencji w naszej szkole) nasza gazetka obchodziła pełnoletniość i wydała 50 numer, a już mamy dwa lata więcej na swoim koncie. Potrzeba grupy zawziętych uczniów, kilka lat i kawałek serca, aby być w takim miejscu i móc świętować już 60 wydanie „Ilustrowanego Przeglądu Gastronomicznego”. Gazetka szkolna weszła, jeśli można tak powiedzieć, w wiek studencki, pierwsze kroki dawno za nią, bunt młodzieńczy też już pokonany, teraz czas rozwinąć skrzydła i żyć pełnym tchem.

Ostatnio, przeglądając stronę IPG, tak z czystej ciekawości, weszłam w zakładkę jej historii. Czytałam, czytałam i nie mogłam się naziwić... Zwykły pomysł zainicjowany w 1999r. przez tamtejszą klasę 2i (swoją drogą jednak ci cukiernicy są bardzo zdolni) i ich opiekuna Profesora Żebra, którego efekty możemy dzisiaj podziwiać, a bardziej czytać. Gdy „starzy redaktorzy” kończyli swoje kadencje, przychodził czas na nowych i tak trzymanie pieczy nad gazetką krążyło po różnych klasach. Można porównać to do naszych tradycji, babcie przekazują je swoim dzieciom, a naszym mamom, a później one nam i tak się ciągnie. Oby tak było z tą gazetką, bo tak niesamowite przedsięwzięcie w świecie



lami, że idą sobie wszyscy razem na pizzę. Ale zdradzę Wam sekret: takie rzeczy, to tylko w Gastronomii. Mam też pytanie, które kieruję do uczniów: czy jednak nie warto zostać redaktorem? Super atmosfera, pizza za darmo- żyć, nie umierać! Żartuję oczywiście, jedzenie to nie wszystko. Patrzenie na coś tylko z

telefonów, gdzie wiadomości idą z prędkością światła, musi trwać. I niech trwa jak najdłużej.

Dwa lata temu redakcja, która samozwańczo okrzyknęła się Uczniowskim Bractwem Ciężkiej Riposty Z Mocno Ograniczoną Odpowiedzialnością, hucznie obchodziła swoją osiemnastkę. Był tort, goście z poprzednich redakcji. Nie byłam świadkiem tej imprezy, bo dopiero kończyłam gimnazjum. Ale odkąd zostałam redaktorką naczelną i usłyszałam o kolejnym okrągłym jubileuszu, bardzo byłam ciekawa co wymyślą opiekunowie gazetki. Sześćdziesiąte wydanie, więc jest co świętować, nie wspominając już o dwudziestu latach prężnej działalności prasy szkolnej.

Właśnie z powodu nieodległej czasowo osiemnastki i perspektywy 25-lecia IPG, opiekunowie postanowili w mniej huczny, ale chyba bardziej klimatyczny sposób świętować dwudzieste urodziny gazetki. Postanowili zabrać swoich redaktorów na wykwintną ucztę, a mianowicie wspólną pizzę. No nie mogli trafić lepiej w gusta uczniów! Aż się oczy wszystkich redaktorów zapaliły na ten pomysł. W sumie, było to pierwsze takie wyjście w historii nie tylko naszej gazetki, ale też szkoły. Myślę, że autorzy z pierwszych klas nie spodziewali się, że mogą istnieć takie relacje między uczniami a nauczycie-

perspektywy korzyści materialnych lub darmowości w tym przypadku, to moim zdaniem słaby punkt widzenia...

W sam dzień obchodów jubileuszu, Nadzwyczajny Koordynator- Pani Tobiasz, załamała Wielkiego Cenzora, gdy mu obwieściła, że w wyniku podwójnego rocznika, nasza redakcja liczy 20 osób!!! Słownie: DWADZIEŚCIA osób!!! Padł rekord! Przez dwadzieścia lat może by się tylu redaktorów zebrało, ale w ciągu jednej kadencji redakcji?! Wielki Cenzor się załamał, bo jak wiadomo- ubogi Żebrak z niego. I zaczęło się głośne jęczenie w stylu Profesora: „Skąd ja tyle pieniędzy na pizzę wezmę? Nawet pod Bazyliką Świętego Piotra nie ubierałbym tyle...” Jak zwykle profesorskie przekomarzanie się rozbawiło redakcyjne towarzystwo i usunęło trochę sztywną początkową atmosferę. Grunt to dystans do siebie.

Na miejscu, „U Jerry’ego” wszystko zastaliśmy przygotowane: stoliki, rezerwacja, pizza... I jak tu nie doceniać naszych profesorów, skoro taki gest mają. Nie godzi się nie doceniać! Nie muszę chyba Wam mówić, że pizza była wyśmienita. Oczywiście Wielki Cenzor, lubujący się w publicznych wystąpieniach, i tym razem nie zaniechał przemówienia. Najśodsze (choć deseru nie przewidziano) zdanie, jakie Pan Profesor wypowiedział brzmiało tak: „Najbardziej się cieszę, że na dwudziestolecie gazetki doczekałem się dwudziestu redaktorów na raz. I Wasza obecność, to dla mnie najlepszy prezent na te dwadzieście urodziny.” Oklaskom i łzom wzruszenia nie było końca... Chociaż nie, zakończył je sam Profesor, który po tym, jakże wzruszającym wystąpieniu, od razu zwrócił się do wszystkich ścisłym głosem: „Ale jak mi nie będziecie pisać artykułów na czas, huncwoły jedne, to Wam skórę przetrzepię.” I znów powrócił dawny Wielki Cenzor. Widać, wzrusza się jedynie na sekundę. I tak go lubimy.

Po części oficjalnej i jedzeniowej przyszedł czas na musztrę redakcyjną, no bo skoro już opiekunowie mają wszystkich redaktorów razem w jednym miejscu, to mogą trochę przycisnąć, żeby artykuł przysłali na czas, można komuś jakiś pomysł na tekst sprzedać. No i takim sposobem 60 numer został rozparcelowany. Czekamy na efekty.

Z perspektywy redaktorki naczelnej, muszę przyznać, że nie spodziewałam się takich obchodów urodzin gazetki. W ogóle żadnych się nie spodziewałam. Jednak to spotkanie, takie zwyczajno- niezwykłe, przy pizzy, z profesorami, uświadomiło mi, że właśnie o to chodzi w gazetce, kółku szachowym i innych przedsięwzięciach, żeby być ze sobą, po prostu. Dotarło do mnie, że to relacje są ważne i że razem możemy więcej. Możemy budować coś, co przetrwa następne dwadzieścia lat. A kiedyś, z dumą wspomnę, że dołożyłam do tego dzieła swoją cegiełkę, swój wkład. Jubileusze są fajne, oby było ich więcej, bo to znaczy, że gazetka, która zaczęła się nieśmiało dwadzieścia lat temu, trwa nadal, żyje, działa, a historia dzieje się na naszych oczach.

Zapraszam gorąco wszystkich chętnych do naszego grona. Twórzmy razem przyszłość prasy szkolnej.

Wiktoria Fyda 2i

Dwadzieścia lat minęło jak jeden dzień...

Zaskoczenie to jest chyba dobre stwierdzenie. Jestem w drugiej klasie, ale dopiero teraz zdecydowałam się dołączyć do redakcji Ilustrowanego Przeglądu Gastronomicznego. Pierwsze zebranie redaktorskie i już dostaję temat o opinii i przeglądzie wcześniejszych numerów naszej szkolnej gazetki. Pomyślałam:

„Fajnie, od razu zapoznam się z historią prasy, do której wstąpiłem”. Ale zaraz potem: „Nuda! Co tam może być?! Artykuły z 1999 roku? Dno!” Od razu myśl: „Co młodzież końca XX wieku (samo brzmienie tej jednostki czasowej wskazuje na odległą prehistorię) ma do powiedzenia?! Ha!” Zostałem odesłany do archiwum IPG. Swoją drogą, nawet nie wiedziałem, że ktoś zrobił stronę internetową naszej gazetki, ale uznaję to za bardzo dobry pomysł. Ci bardziej tradycyjni mogą jednak pójść do biblioteki.

Przeglądając i czytając niektóre artykuły, nawet przez myśl mi nie przeszło, że młodzież z początków prasy gastronomicznej może choć trochę przypominać zachowaniem, czynem czy żartem nas- dzieci XXI wieku... Jakże wielkiego szoku doznałem czytając ten archiwalnie najstarszy artykuł z września 1999 roku: „[...]Jednak dzisiaj jest tak, że ludzie wybierają, gdyż muszą mieć jakiś punkt podparcia, żyją według tego wyboru nieświadomi, że tego dokonali. Nie wiedzą bądź nie chcą wiedzieć, że postawili siebie przed faktem dokonanym. Manipulacja między świadomością a nieświadomością wywodzi się często z bojaźni przed zasłużonymi konsekwencjami swojego wyboru, gdyż prawda może wyzwolić, prawda może ocalić, prawda może zniszczyć i wreszcie prawda może zabić...” - pisze Anna Smoleń w jednym ze swoich artykułów „Więcej mieć czy brać?” Kompletnie nie rozumiem... Ludzie słuchający „Modern Talking”, często „dzieci kwiaty”, punki, długie włosy, dzwony na nogach, w rękach stare Nokie- z naszej perspektywy trochę przerysowani w swoim byciu- są skłonni do takich refleksji?! Do stwierdzeń, na które my młodzi, 20 lat później, wydawało by się, że 100 lat do przodu, nie umiemy odpowiedzieć?! „[...]Prawda może zabić...” We mnie zabiła na pewno dotychczasowe myślenie o „szkolnych dinozaurach”.

Przeglądając artykuły z kolejnych lat, wpadłem na jeden niebanalny pomysł: „A co by było gdybym skopiował artykuł choćby z 2001 roku? Czy ktoś dostrzegłby różnicę?” Moja odpowiedź brzmi: „Nie!” Z jednej strony niesamowite: to samo myślenie, tak bardzo aktualne lecz dla mnie - jako redaktora - przykre, bo w pewnym sensie, chcąc nie chcąc, powielamy dany schemat. Irytujące... Choć, patrząc w głąb tego zagadnienia, to jest ta przysłowiowa „prawda, która może zabić”. Zabić, w tym dobrym sensie, pychę, która nie prowadzi do niczego nowego, jakiegoś odkrycia. Trzeba zabić tego potwora w sobie, aby móc - po części powielając schemat - tam szukać czegoś niesamowitego... To od nas, tak różnych i odmiennych, wymaga pokory... Jednak jestem przekonany, że jeśli zaakceptujemy swoisty brak wyjątkowości, to odkryjemy coś zupełnie innowacyjnego i niesamowitego!

Idąc dalej przez tę dżunglę zapisków, zauważyłem coś niebywałego. Czy to jest możliwe? Nie... Odświeżyłem stronę kilka razy i... tak! A jednak prawda! W roku 2014/15 nie było ani jednego słowa przelanego na papier... Nic a nic, żadnego śladu... Ta ciekawość, co się wtedy działo, zżerała mnie od środka. Przecież to nie jest tak dawno... Raptem 4-5 lat, a jednak minęło... I już nie wróci żaden uczeń i nie opowie tych śmiesznych wydarzeń z ich klasy, nie opowie jakiegoś sytuacyjnego żartu, nie przeleje swojej goryczy wobec nauczyciela na papier, nie podzieli się swoimi spostrzeżeniami, choćby nawet chciał... Stracił okazję... Pożegnał się z licealnym poglądem na szkołę na dobre, byłby za bardzo „dorosły” w swym myśleniu, bo teraz pewnie kończy studia, może właśnie przygotowuje się do obrony swej pracy magisterskiej, robi drugi fakultet, nikt nie wie... Jedno jest wiadome: te lata już nie powrócą do archiwum...

Przedzierając się dalej przez nasze „archiwum X”, spotykałem wiele artykułów, od tych interesujących do - przynajmniej dla mnie - mniej ciekawych, więc oszczędzając sobie i wam katuszy, nie będę ich opisywał. Będąc już przy negatywach,

muszę trochę zjechać pierwsze wydania naszej gazetki. Z całym szacunkiem do redaktorów i opiekunów, którzy dwoili się i troili, by trafić do odbiorcy, styl i forma wydawania gazetki to jeden wielki dramat... Tego się czytać nie da! Serio! Jestem pewien, że musiałem się skupić nie mniej niż Pani Profesor Molek oceniająca moje bazgroły na sprawdzianie z matmy, żeby cokolwiek zrozumieć. Zaznaczałem kursorem myszy co czytam, bo tam jakoś się to dziwnie kończyło, zaczynało w innym miejscu... No sam nie wiem. Były nawet jakieś krzyżówki czy coś takiego... W ogóle nie czaję. Czeski film... Ale co taki wychuchany ekspert od komputerów jak ja może wiedzieć o początkach Worda i programów tekstowych. Nawet mnie na świecie wtedy nie było, a nawet w planach nie byłem ujmowany, a wymądrzam się o grafice początkowych numerów. Popelniam właśnie typowy historyczny błąd: patrzę na przeszłość IPG oczami człowieka XXI wieku, który informatykę – jak każdy młodzian – wyssał z mlekiem matki. Pomijając fakt, że mój artykuł zostanie dokładnie poprawiony przez Nadzwyczajnego Koordynatora, który z pewnością stwierdzi, że jak na informatyka i specja od nowinek komputerowych, to Wordem posługiwać się nie umiem, bo tyle błędów w życiu nie widział. Dlatego przepraszam za popełnienie karygodnego błędu historycznego.

Biorąc wszystko do kupy, od niesamowitych wywodów, przemyśleń, czerstwych żartów i innych śmieszek do dennych krzyżówek, dziwnych tematów artykułów, znikających gazetek, leniwych redaktorów, mogę jednomyślnie „ocenić” nasz Instytut Pamięci Gastronoma jako jedną wielką RÓŻNORODNOŚĆ: przemyśleń, anegdot, zagadek, wierszy, refleksji, stwierdzeń, satyr. Jest to wielka księga, do której może wpisać się każdy, dosłownie każdy i mieć nadzieję, że może ktoś, gdzieś, kiedyś przeczyta takie moje bohomyzy. Intrygująca myśl... Wiem też, że nic wiele tym artykułem nie odkryłem, ale cóż... Dla siebie odkryłem wiele. Na przykład odkryłem swoją intencję wstąpienia do Bractwa Ciężkiej Riposty Z Mocno Ograniczoną Odpowiedzialnością. Właśnie dlatego się zdecydowałem, by dołożyć swój wkład, by zostawić swój ślad, by nie przejść przez licealne lata bez echa, nie zostawiając nic następnym pokoleniom, nie budując przyszłości. Właśnie dlatego dołączyłem, żeby już nigdy nie było luki w archiwum, bo nie miał kto pisać artykułów. Mimo tych wszystkich może banałów, jestem spełniony i usatysfakcjonowany moim wywodem, bo nawet jeśli teraz ktoś wyśmieje ten satyrycznie głupi artykuł, to może za 5-10 lat znajdzie się jakiś podobny do mnie (czyli średnio na jeża inteligentny) uczeń, który zrozumie co miałem na myśli. Tej myśli się trzymam i z tą myślą was zostawię, bo pamiętajmy: największe głowy na świecie zostały uznane za faktycznie największe i genialne dopiero po swojej śmierci. W tej uludzie będę żył...

Kacper Surma 2a

Potwierdzam, Kacperku, Twoją intuicję: jak na XXI i obycie z komputerem, ilość błędów przekroczyła stan krytyczny mojej tolerancji.

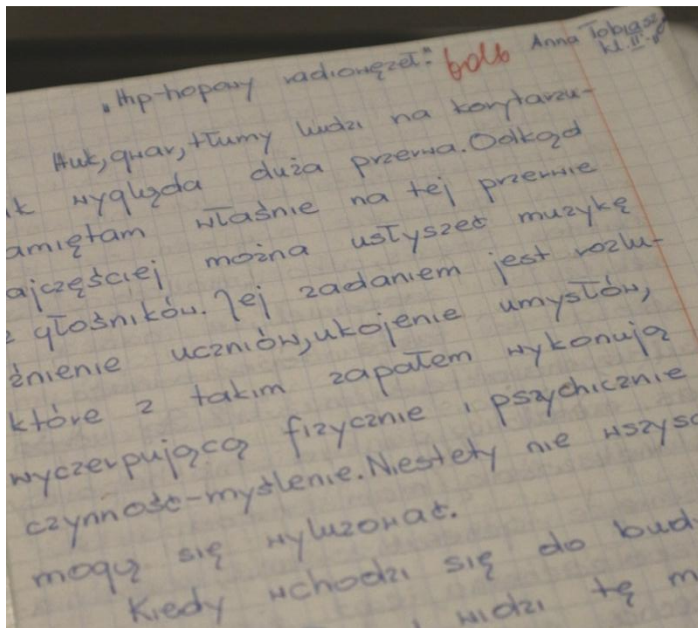
Nadzwyczajny Koordynator Anna Tobiasz

Historia jednego artykułu, który nigdy się nie ukazał...

Nie jest tajemnicą, iż jestem absolwentką Zespołu Szkół nr 1 im. KEN. Szczycę się tym i przyznaję się do swoich naukowych korzeni przy każdej nadarzającej się okazji. W lipcu tego roku, w czasie remontu, jak to zwykle przy remontach bywa, natrafiłam w swoich szparach na pewną kopertę. Znalazłam w niej różne pamiętki z lat licealnych. Jedną z nich szczególnie mnie zaciękała. Był nią oceniony artykuł o szkolnym radio-

węźle. Zastanawiałam się, skąd on się u mnie wziął, bo w momencie przypominałam sobie całą historię z nim związaną.

Otóż, będąc w drugiej klasie, na jednej z lekcji języka polskiego, którego uczyła nas pani profesor Elżbieta Charysz, zostało nam zadane zadanie: napisać artykuł prasowy na dowolny temat dotyczący szkoły. Najlepiej oceniony miał zostać przekazany do profesora Żebraka, odpowiedzialnego za gazetkę szkolną, i wydrukowany w papierowym wydaniu. Napisałam więc i - o dziwo - zrobiłam to najlepiej. Pani Charysz, po krótkiej pochwalce mego skromnego dzieła, wzięła artykuł, by przekazać go dalej. Niestety, słuch po nim zaginął. A tu nagle, po trzynastu latach okazuje się, że jakimś dziwnym trafem oryginał znalazł się w moich pamiętkach.



Obchodzimy w tym roku, jako redakcja, dwudziestolecie Ilustrowanego Przeglądu Gastronomicznego, w którym piastuję stanowisko Nadzwyczajnego Koordynatora. Korzystając zatem z praw wynikających i z wieku i z urzędu, postanowiłam podzielić się moim skromnym artykułem. Według profesora Żebraka, nie stracił on przez te trzynaście lat na aktualności, a ja, czytając po tylu latach moje własne dzieło, byłam naprawdę zaskoczona brakiem błędów, formą wypowiedzi i odwagą w doborze słownictwa. Już wtedy idealnie nadawałam się do Bractwa Ciężkiej Riposty Z Mocno Ograniczoną Odpowiedzialnością. Jednak przyszło mi czekać długie dziesięć lat, zanim oficjalnie mogłam do niego przystąpić. Ale, „co się odwlecze, to nie uciecze”. Oto on.

„Hip – hopowy radiowęzeł.”

Huk, gwar, tłumy ludzi na korytarzu- tak wygląda duża przerwa. Odkąd pamiętam, właśnie na tej przerwie najczęściej można usłyszeć muzykę z głośników. Jej zadaniem jest rozluźnienie uczniów, ukojenie umysłów, które z takim zapamiętaniem wykonują wyczerpującą fizycznie i psychicznie czynność – myślenie. Niestety nie wszyscy mogą się wyluzować.

Kiedy wchodzi się do budynku naszej szkoły i widzi tę masę istnień, od razu w głowie pojawia się stwierdzenie: „Pokolenie hip – hopu.” Rzeczywiście, patrząc na ogół widzimy non stop przemykające różowe bluzeczki, bluzy z kapturem, szerokie spodnie lub ogolone „na zero” głowy. Właśnie to najbardziej rzuca się w oczy, ale nie wierzę, że ludzie prowadzący radiowęzeł w naszej szkole nie zauważyli grupy „odszczepieńców”,

których nie interesują puszczone z głośników jęki Britney Spears albo „miauczający” Lerek. Czyżby zapomnieli, że nasza szkoła to także różnorodność subkultur, charakterów, muzyki? Są wśród nas metalowcy, punki, a hip – hopowcy są większością (mam nieodparte wrażenie, że generalizowanie, uogólnianie społeczeństwa, jego zjawisk, to już cecha narodu polskiego).

Muzyka hip – Hopowa na pewno nie zniknie z repertuaru naszego radia, ale można ją ograniczyć, bo zamiast rozluźniać nasze zapracowane mózgi, u niektórych może wywołać ona efekt zupełnie odwrotny: dekoncentrację, zdenerwowanie. Przecież udowodniono naukowo, że słysząc ulubiony „kawałek” nasz stan psychiczny poprawia się, rozluźniamy się. Czyżby szkoła nie chciała dobra wszystkim?

Cóż, jest jak jest. Czasami wydaje mi się, że w szkole rośnie coś w stylu faszyzmu lub stalinizmu (ale w łagodniejszej formie): rządy „nadludzi” (czyt. hip – hopowców), którzy czasami mają zamiar „zniszczyć podludzi” (czyt. inne subkultury). Najchętniej widzieliby punków, metalowców itp. w skate’owskim ubraniu, „bujających się” w rytm piosenek 50 Cent’a. Dziękować Bogu, że zarówno Hitler jak i Stalin przegrali (a wraz z nimi ich ideologie na masową skalę) na rzecz tolerancji i przekonania o różnorodności i równości każdego człowieka.

Anna Tobiasz Klasa II „e”

Tak właśnie pisałam, będąc w naszym piątym liceum. Czy moje pisanie nadaje się Ilustrowanego Przeglądu Gastronomicznego, panie profesorze? Fajnie powspominać tamte czasy, chociaż pracując w swojej szkole już jako nauczyciel, nie muszę wspominać, bo nadal dane mi jest tworzyć teraźniejszość sądeckiego Gastronoma, nadal mogę cieszyć się obecnością uczących mnie kiedyś profesorów. Niesamowite, jakie historia lubi zataczać kręgi. Oby IPG trwał przez co najmniej kolejne dwadzieścia lat!

*Nadzwyczajny Koordynator
Anna Tobiasz*

Wszelkich Szkolnych Pomysłów Wylęgarnia

Taka scenka: siedzicie sobie na szkolnym korytarzu, a tu nagle ziemia pod waszymi stopami zaczyna się trząść. Ciekawe co byście sobie pomyśleli i co zrobili w takiej sytuacji? Może zaczęlibyście uciekać i krzyczeć w obawie trzęsienia ziemi lub tak jak ja, postanowilibyście to sprawdzić. Idąc za swoim detektywistycznym nosem, zaczęłam słyszeć różne odgłosy, ale nie myślcie sobie, że jakieś duchy czy coś. Po prostu usłyszałam coś na podobieństwo remontu. Pewnie kojarzycie ten dźwięk wiertarki, młotka, który słyszycie wcześniej rano i który was budzi, choć wy chcielibyście dalej spać, ale wasi rodzice naprawiają coś w domu? No właśnie, więc to był taki dźwięk.



Najbardziej ten hałas było słycać przed sekretariatem. Pomyślałam więc, że może tam lub u pani dyrektor odbywają się jakieś remonty. Niestety, nie dane mi było to sprawdzić, ponieważ do gabinetu pani dyrektor nie można wchodzić ot tak. Chyba, że się coś przeszkrobało. Z reguły jestem grzeczna i raczej prędko nie wybieram się na dywanik, więc postanowiłam pod pretekstem jakiś dokumentów zanieść coś do sekretariatu. Ku mojemu zdziwieniu drzwi były otwarte i nie było tam żadnych prac remontowych. Uznałam więc, że mam jakieś dziwne zwidy i odpuściłam sprawę. Kolejnego jednak dnia, gdy byłam w szatni w Sali gimnastycznej i przebierałam się na w-f, znowu usłyszałam ten dźwięk. Moje koleżanki również słyszały te hałasy, więc moje podejrzenia o halucynacje okazały się bezpodstawne. Chciałam za wszelką cenę wiedzieć skąd dobiega ten głos, więc zeszałam na dół i doszałam do wniosku, że epicentrum tego wszystkiego dochodzi z za drzwi z napisem „Magazyn”. Pociągnęłam za klamkę, ale drzwi były zamknięte, więc zagadka pozostawała nadal nierozwikłana.

Wieczorem, analizując sytuację, przypomniało mi się, że coś czytałam na temat tego sekretnego magazynu, gdy nadrabiałam przegląd archiwalnych gazetek IPG. Na szczęście, wszystkie są publikowane na stronie naszej szkoły. Postanowiłam pogrzebać za tym artykułem, który utkwiał mi w głowie. Po kilkunastu minutach wczuwania się w Sherlocka Holmesa, znalazłam trop w postaci tekstu Beaty Sajdak, która przed trzema laty zbadała tajemniczy magazyn. Do tamtego artykułu (kwiecień 2017, wydanie numer 48) dołączone było zdjęcie, co mnie bardzo zdziwiło i zaintrygowało, bo nikt by się tam nie zmieścił.



Magazyn był totalnie zapchany jakimiś niepotrzebnymi rzeczami, papierami, które po prostu tam leżały upchnięte. Pomyślałam sobie, że ktoś w końcu robi tam porządek i byłam tylko ciekawa co z tego wyniknie i po co to sprzątanek.

Temat u mnie na chwilę ucichł i nie zajmowałam się tym zbyt, lecz pewnego dnia odwołali nam lekcje rano, o czym zapomniałam i przyszałam na normalną godzinę. Bardzo nie chciało mi się siedzieć wtedy samej, a znajomi albo mieli lekcje albo po prostu zaczęli później. Nagle stanęli przede mną profesorka Tobiasz i profesor Żebrak i zaproponowali mi grę w szachy wraz innymi uczniami. Perspektywa nudnego siedzenia jakoś mi nie odpowiadała, więc przystałam na ofertę. Ku mojemu zdziwieniu pani profesor szła w stronę sali gimnastycznej i wtedy mnie oświeciło!!! Bo skręciliśmy w stronę sekretnego magazynu. Normalnie miałam ciary na plecach, że za chwilę poznam, jako jedna z pierwszych, jego tajemnicę.

Drzwi się otworzyły i moim oczom ukazała się przytulna jasna kanciapa, ze stolikami, ceglany sufitem. Gdy tylko przekroczyłam próg wiedziałam, że polubię to miejsce. Wchodząc tam, wchodzi się w całkiem inny świat. Wszystko w tym miejscu jest takie, jakby czas się zatrzymał pobielane cegły dodają uroku i nadają charakteru temu miejscu. Oczywiście

najbardziej zachwylił mnie żyrandol, stylowy retro element. Jest tam malutkie okienko, które kiedyś służyło jako zsypanie węgla. Teraz ma przynajmniej zasłony, choć za dużo światła nie daje. Są już krzeselka, stoliki i ławki. Można spokojnie usiąść i pomyśleć, w ciszy i spokoju albo zagrać w szachy (tak a propos, to prawie wygrałam z panem Żebrakiem), więc bardzo wam polecam kółko szachowe. Z artykułu Beaty wynikało, że ten magazyn kiedyś nazywał się „harcówką” lecz zapytałam naszych opiekunów gazetki (i zdaje się opiekunów tego miejsca) jak oni by nazywali magazyn owiany legendą. Jednocześnie zakomunikowali, że nad nazwą myśleli od trzech lat i ustalili, że ochrzczą to miejsce „Wszelkich Szkolnych Pomysłów Wylęgarnia”.

Szachiści, redaktorzy, aktorzy mocno walczyli o to pomieszczenie. Wszyscy mieli już dość spotkań na korytarzu czy przed pokojem nauczycielskim. Najbardziej sprawie przysłużył się profesor Żebrak, który prawie codziennie chodził na żebry do pani dyrektor. Żebrał, żebrał i wyżebrał, a podarunek od pani dyrektor idealnie zgrał się z 20. urodzinami Ilustrowanego Przeglądu Gastronomicznego i stał się najlepszym prezentem! Dziękujemy pani dyrektor za cudny prezent! Wreszcie doczekaliśmy się własnego pomieszczenia redakcji, szachów, teatru i innych naszych przedsięwzięć, w którym spokojnie możemy spędzać czas, wymyślać interesujące artykuły, grać w szachy, wyteżać umysły, by nasza szkoła tętniła życiem i inicjatywami. Wszystko pod czujnym okiem pani dyrektor, bo jej gabinet znajduje się tuż nad naszymi głowami.

Dorota Wolak 2h

Przyjemne z pożytecznym,

czyli w kilku słowach o wakacyjnej pracy.

Wakacje... Dwa ulotne miesiące, które jak zwykle, skończyły się zbyt szybko. Za szybko. Odpocząć nie zdążyłam, a wiedza z głowy i tak się ulotniła. Jeszcze na długo przed zakończeniem roku, głośno było na korytarzach o niejakich płatnych stażach organizowanych

na czas wakacji dla uczniów. Długie listy chętnych zmieniały prawie co tydzień swoich kandydatów. Opcji było kilka: albo Rytró i „Perła Południa”, Hotel Ibis w Nowym Sączu, ciastkarnia na Romera lub coś bardziej szalonego - nad morze. Osobiście, na początku skusiłam się tylko na Rytró. Takie zresztą miałam postanowienie na

wakacje, jeden miesiąc przepracować, drugi przespać. Ale plany mają to do siebie, że lubią się szybko zmieniać i w efekcie wyłączałam też na drugim stażu właśnie nad morzem. Wakacje zatem były już po części zaplanowane.



Cały lipiec spędziłam w Rytrze. Praca co drugi dzień po 8 godzin... Po tych praktykach, mogę spokojnie ogłosić, że awansowałam na królową lepienia pierogów, zwłaszcza ruskich, i obierania ziemniaków, bo to były dwa główne moje zajęcia. Rozpocząłam dzień z co najmniej dwoma workami ziemniaków do obrania, a kończyłam na lepieniu pierożków rodzaju. Po drodze przewijał się jeszcze oczywiście zmywak i inne drobne rzeczy, przy których mogłam pomóc. „To pokrój, tamto obierz, a to zetrzyj... Takie lekkie robótki. Jednak po tych 8 godzinach stania, to jednak nogi o sobie przypominały. Ale i tak, mimo wszystko, nie mogę narzekać na pracę w Rytrze, bo naprawdę atmosfera i szefostwo, z którym miałam przyjemność pracować, to byli najmiłsi ludzie pod słońcem, a praca nie była taka zła.

Początek sierpnia. Ledwo skończyłam jedną pracę, a kilka dni później wyruszałam do następnej. Tym razem dużo dalej, bo aż do Mielna, a konkretnie do Łaz. Na drugi koniec Polski. Co jak co, ale moi rodzice nie mieli nic przeciwko temu, a nawet zachęcali mnie do tego wyjazdu nad morze. Prawie że mnie wypchnęli z domu. No właśnie, bo co do tego drugiego wyjazdu, to - szczerze mówiąc - okropnie się bałam. Troszkę mnie nastraszyli w Rytrze, że praca nad morzem będzie dużo cięższa ze względu na większą liczbę turystów, więc jadąc tam byłam nastawiona na najgorsze. Oczywiście i na szczęście, nie jechałam tam sama, bo wybrałam się tam z koleżanką z klasy, Krysią, więc miałam w sercu nadzieję, że cokolwiek się wydarzy, to jesteśmy tam razem.

Sama droga, to była czysta męczarnia. Wystarczy sobie tylko wyobrazić 14 godzin jazdy autobusem. Masakra! Gdy już w końcu z niego wysiedliśmy, sądziłam, że teraz tu już z górki. Było do hotelu i spanko. Ale tutaj zaczęła się kolejna udręka. Było nas łącznie 16 osób i krążyły plotki, że autobus nas wszystkich nie zabierze, zwłaszcza z tymi walizkami. A co było najlepsze z tego wszystkiego, to pytanie, czy w ogóle on będzie jechał. Nie byłoby tak źle, gdyby z tego Mielna do Łaz było tak z 2-3 kilometry - tyle jeszcze dałoby się przejść. No maksymalnie 4 kilometry. Ale nie aż 11 kilometrów i to jeszcze z takim ekwipunkiem! Przecież byśmy w połowie drogi wszyscy ducha wyzionęli! Chociaż... było jednak kilku śmiazków na taką drogę ekstremalną, jednak ostatecznie nie podjęli się tego wyzwania. Czekaliśmy jak menele z walizkami pod prestiżową Biedronką,

modląc się, aby przyjechał bus i zabrał nas wszystkich. Po godzinie nasze prośby zostały wysłuchane. Gdy już w całości dojechaliśmy na właściwe miejsce, każdy marzył o gorącym prysznicu i łóżku, aby móc odespać podróż, ale nie było

nam pisane, aby odpocząć. Pierwszą godzinę na miejscu spędziliśmy jak zesłańcy, koczując pod hotelem i czekając na śniadanie. Później dopiero sprawy organizacyjne i inne takie dziado-

stwa. Po południu szybkie szkolenie, otrzymujemy grafik i przeżywam zawał życia. Mianowicie, zostaje przydzielona na salę na część pobytu, gdzie ja, talerze i latanie po sali to niezbyt dobre kombinacja. Straszliwie boję się kelnerować, a właśnie zostałam do tego przydzielona. Jeszcze tego samego dnia rozpoczęłam swoją pracę.

Dni miały, do tej nieszczęsnej kelnerki się przyzwyczajałam. Swoją drogą nie była jednak taka zła. Obawiałam się, że pójdzie mi dużo gorzej, ale uznanie gości uświadomiły mi, że było wręcz na odwrót. Dzięki kelnerowaniu przyzwyczajałam się do nowego otoczenia, a zwłaszcza ludzi. W pokoju było łącznie osiem dziewczyn, a ja na początku znałam tylko jedną- Krysę. Później dopiero okazało się, że w tym gronie znajduje się też nasza utalentowana artystka od karykatur, a przy okazji jeszcze wiele innych wspaniałych osób, które miałam okazję bliżej poznać podczas tego wyjazdu.

Praca, plaża, praca, wyjścia z ekipą - tak przeważnie wyglądał mój dzień. I wydawać by się mogło, że ponad trzy tygodnie tam spędzone, to dużo i będą się bardzo dłużyć, a nim się zdażyłam obejrzeć, zostało kilka dni do wyjazdu do domu. Ostatni tydzień spędziłam trochę w kuchni, a konkretnie - i w większości - był to czas spędzony na zmywaku - miejscu, gdzie Dominika nauczyła mnie z gracją rzucać talerzami, gdzie przeżyłam drugi zawał w ciągu jednego miesiąca, bo młynek do jedzenia zjadł nam łyżkę i o mało on sam się nią nie udławił na amen. Później dopiero okazało się, że sam się czasami lubi włączyć. „Zmywak, jak się bawicie? Nie słyszę was!” Tak... tak właśnie bawił się zmywak. Chodziliśmy w tango z toną talerzy, milionem szklanek i stosami sztuców. A wdzianka tam na zmywak były jeszcze lepsze: ogromniaste fartuchy, przypominające te dla rzeźników, którymi można się było przepasać ze trzy razy. Sama Coco Chanel pozazdrościłaby takiego stroju.

W wolnym czasie były szalone wyjścia na plażę lub koczowanie w „Socjalu” (budynku gdzie mieszkaliśmy tylko my, a za ścianą była jedynie sala do jogi, poza tym budynek cały nasz). Nieraz mopy i miotły latały w powietrzu lub służyły jako ubogie mikrofony w momencie, gdy dziewczyny spędziły chyba za dużo czasu na słońcu. Poza tym, w kilka dni po przyjeździe, odkryłam (z małym opóźnieniem) pianino, w którym się zakochałam. Grzesiek - tak je nazwałam wraz z Panią Od Karykatur, bo obie na nim grałyśmy. Alina oczywiście dużo lepiej, jej palce śmigły jak szalone, a ja... no... grałam po swojemu, ale nie było tak najgorzej. Później do naszej muzycznej spółki dołączył kolega i wieczorkami, jak była tylko chwila wytchnienia, przesiadywaliśmy przy tym pianinie. W dniu wyjazdu serce mi się krajało, że muszę rozstać się z Grzeskiem...

Jak na początku pobytu w Łazach narzekałam w każdej wolnej chwili na wszystko i miauczałam, że chcę już do domu, tak teraz najchętniej z całym sercem wróciłabym nad morze albo chociaż przedłużyła pobyt. Jeśli patrzeć na cały staż od strony praktycznej, to naprawdę nie było tak źle. Spróbowałam nowej dziedziny, a bardziej czegoś, co mnie przerażało i okazało się nie być takie straszne. To samo dotyczy się kuchni i szalonego zmywaka. Ludzie tam pracujący, w większości (przymknę oko na parę) mieli złote serca, przez co atmosfera też była bardzo dobra i praca tam mijała przyjemnie i bardzo szybko. Dzięki temu wyjazdowi, poznałam bliżej kilka wspaniałych osób, które przez cały rok szkolny wcześniej mijałam na korytarzu. I chyba te przyjaźnie, to dla mnie największy prezent z tych staży nad tym morzem.

Wiktorja Fyda 2i

Buszujące wśród pierwszaków

Nasza szkoła, oczywiście najlepsza w Nowym Sączu, od zawsze przyciągała wielu uczniów. Jednak w tym roku szkolnym to już lekka przesada - mowa tutaj o podwójnym roczniku. Szesnaście klas pierwszych, w których każda liczy ponad 30 osób... Powodują dużo większy tłok na naszych małych, ciasnych szkolnych korytarzach. Chciałyśmy się dowiedzieć jak pierwszaczki radzą sobie w nowym otoczeniu (bo wiecie, my już mamy to za sobą), więc przeprowadziłyśmy wśród nich małą ankietę, w której próbowałyśmy się dowiedzieć skąd decyzja o wyborze naszej szkoły i co pomogło w jej podjęciu. W większości odpowiedzi jakie dostawałyśmy dotyczyły dobrej lokalizacji (przede wszystkim blisko dworca autobusowego) i opinii szkoły: „Słyszałam na jej temat dużo dobrych opinii, o samej szkole jak i o nauczycielach, bardzo mi też odpowiada lokalizacja”. Także absolwenci, którzy są rodziną lub znajomymi przyczynili się do wybrania naszej szkoły. Nie od dziś wiadomo, że nasza szkoła to taka z gatunku międzypokoleniowych. Ucieszyło nas, że większość opinii była skupiona wokół mnóstwa inicjatyw, które mają miejsce w naszej szkole i jak widać, wieść o nich już dawno opuściła mury Gastronoma. Z dumą potwierdzamy: w ZS nr 1 dużo się dzieje i każdy znajdzie coś dla siebie.

Próbowałyśmy wyciągnąć od naszych kochanych koteczków jakie są ich oczekiwania w stosunku do nowej szkoły? Co chcieliby robić po jej skończeniu? I tutaj raczej nie było zaskoczeń. Zdecydowana większość uznała, że celem wszystkich jest dobrze zdać maturę. Co do przyszłości, większość wiąże ją z kierunkiem, który wybrali. Marysia twierdzi: „Nie mam jeszcze konkretnych planów, ale uważam, że jestem na takim profilu po którym jest dużo możliwości więc na pewno coś znajdę”. Wiele osób myśli także nad studiami: „Na pewno jakieś studia, a potem się zobaczy”

Nie byłybyśmy sobą, gdybyśmy nie zapytały jakie są wrażenia pierwszaków po dwóch miesiącach nauki w Gastronomii? Oliwia podzieliła się z nami swoimi odczuciami: „Jestem naprawdę zadowolona! Trafiłam na naprawdę cudownych ludzi w nowej klasie, co w dzisiejszych czasach jest złotem, bo z tego co opowiadają mi przyjaciele z innych szkół, nie w każdym przypadku trafiła im się taka klasa jak mi. Nauczyciele w większości są naprawdę w porządku. Widać, że wszyscy chcą nam pomóc jako pierwszym klasom, żebyśmy czuli się w tej szkole jak najlepiej i bardzo to doceniam.”

Anonimowy respondent przyznał z ulgą: „Myślałam, że będzie gorzej” Gdyby nasza szkoła była Facebookiem, to najwięcej lajków uzyskałby bufet szkolny, z przekochaną Panią Krysą na czele. Nie było to dla nas zaskoczeniem, bo żadna szkoła nie może poszczycić się takim bufetem, a o Pani Krysę, to mogą pomarzyć! Wielu uczniów zwracało uwagę, że są pozytywnie zaskoczeni gronem pedagogicznym, które uznali za sympatyczne, miłe, pomocne, kreatywne. Nasi profesorowie zostali przez pierwszaków zasłużenie docenieni. Za plus została poczytana sala gimnastyczna. My też się z niej bardzo cieszymy. I pomyśleć, że kiedyś jej nie było, a w naszej szkole są tacy, którzy to pamiętają...

Jako początkujące redaktorki chciałyśmy być obiektywne, więc oprócz zalet szkoły, musiałyśmy zapytać także o minusy. Wiadomo przecież, że nasza szkoła nie jest idealna. Głównymi przyczynami niezadowolonych pierwszaków są kolejki w łazienkach, szczególnie na długiej przerwie. Prawdziwą zgrozą są dla nich także kolejki do źródła jedzenia czyli bufetu. Przeszkadza im także noszenie identyfikatorów i automaty, które często „pożerają” pieniądze. Same automaty zostały pozytywnie ocenione. Oto kilka opinii: „Korytarze są tak przeludnione, że zanim zdążymy

przejsz z jednej klasy do drugiej to już jest koniec przerwy”. „Nieraz czekamy cała przerwę, a i tak nie zdążymy skorzystać z łazienki”. „Kolejki do bufetu to katorga, zwłaszcza kiedy na drugiej zmianie dopadnie cię głód, a całe twoje jedzenie się już skończy. Co prawda istnieje bufet szkolny, ale niestety drugo-zmianowicze nie zawsze są w stanie z niego w pełni korzystać, bo często już po godzinie 13:00 po prostu nic w nim nie ma! To jakaś totalna katastrofa, a w szkole trzeba wytrzymać do późna...” - pożałowała się nam Natalia.

Jak sobie pomyślimy, że przeżywałyśmy to wszystko w tamtym roku, jako świeża krew, to aż się łezka w oku kręci, że ten czas tak szybko mija. Nie licząc tych drobnych problemów nasza szkoła przyciąga co roku rzesze nowych uczniów. Większość pierwszaków wyraziła ogólne zadowolenie z nowej szkoły, klasy i przyjaciół, a przeludnione korytarze nie wydają się aż takie straszne. Jako zaprawione w gastronomicznym boju, mamy prośbę do naszych nowych młodszych kolegów i koleżanek: cieszcie się pierwszą klasą na wszystkie możliwe sposoby. Czas biegnie nieubłaganie i ani się obejrzyjecie, jak będziecie już w drugiej klasie, starsi, poważni, zmęczeni, nudni. Pierwszakiem jest się tylko raz! Korzystajcie z tego! A my, witamy Was wszystkich bardzo ciepło i serdecznie w naszych szkolnych progach.

Małgorzata Gieniec, Anna Frączek i Rita Padula

„Drugozmianowe głodomory”

Pewnie dobrze wiecie jak to jest iść do pierwszej klasy. Każdy z Was był kiedyś pierwszakiem. Kompletnie nowa sytuacja, która potrafi nieźle zestresować. Zwykle, nie znając nikogo - co dodaje kolejnych zmartwień - idziemy do zupełnie nowej szkoły, wyobrażając sobie najgorsze scenariusze: same oceny niedostateczne z piekielnie trudnych testów, wyciskających z nas siódme poty; ostriży nauczyciele, męczący nas nawet w koszmarach czy brak znajomych, za czym idą samotnie spędzone przerwy czy pojedyncze koczowanie w ławce na niezwykle nudnych lekcjach. Brzmi strasznie, prawda? Taka wizja pojawiła się pewnie w głowie niejednego pierwszaka. Jednak na szczęście to, co najgorsze mamy już za sobą. Poznaliśmy trochę szkołę, wyculiśmy, co nam wolno, a co działała niemiłosiernie na nerwy nauczycieli, testując nie raz ich cierpliwość, a nas stawia zdecydowanie za często o krok od trafienia prosto do wychowawcy (który pewnie ledwo co wytrzymuje niektóre zachowania). Zawarliśmy również wiele nowych znajomości i kto wie, może nawet przerodzą się one w przyjaźnie na całe życie. Niedługo zacznie się trzeci miesiąc naszego żywota w tej szkole. Z czystym sumieniem mogę przyznać, że jest dużo lepiej niż to sobie wyobrażałam. Oczywiście jest kilka wad, jednak nie ma co się nad nimi rozwodzić, bo nie da się wszystkim jednocześnie dogodzić (nawet mi się zrymowało). Ludzie są różni, więc nigdy nie da się stworzyć zasad, które mogłyby spełnić - zwykle wygórowane - oczekiwania uczniów.

Lecz istnieje jedna rzecz, której nawet nie ośmielię się pominąć, gdyż na takie rzeczy koniecznie trzeba zwracać uwagę. Niestety, ze względu na podwójny rocznik jest nas dużo więcej niż w poprzednich latach, a szkoła mało co nie pęka w szwach, zwłaszcza kiedy szybko próbujemy się przedrzeć przez pełne uczniów korytarze, od jednej sali do drugiej. I to w pięć minut! Niesie to za sobą pewne konsekwencje, w tym lekcje na drugą zmianę. Dla niektórych to spore udogodnienie i kilka dodatkowych godzin tak upragnionego snu lecz dla innych, wizja siedzenia w szkole nawet do godziny 19:00 jest prawdziwym koszmarem, w którym trzeba trwać przez całe 10 miesięcy z nadzieją, że w następnej

klasie los będzie trochę łaskawszy, a plan lekcji przyjemniejszy. W tym wszystkim oliwy do ognia dolewa jeszcze dopadający nas wyjątkowo szybko głód. Co zrobić w sytuacji kiedy nasz brzuch wręcz krzyczy błagalnie o jedzenie, a to przyniesione z domu już dawno się skończyło? Tutaj z pomocą przychodzi niezastąpiony bufet szkolny. Sklepik nie jest trudno znaleźć - wchodząc głównym wejściem jest on zaraz na lewo. Małe pomieszczenie z miejscem, w którym można spokojnie (w miarę) usiąść i zjeść kupiony posiłek. Ale nie tak prędko. Idąc tam, przykładowo na długiej przerwie o godzinie 14:45 z nadzieją, że zjemy pyszną sałatkę czy ciepłe pierogi, przekraczamy progi bufetu i zastajemy tylko świecące pustką, już dawno opróżnione, półki. Zawiedzeni mamy dwie opcje: A- wyjechać od naszych klasowych znajomych gryza czy dwa ich - tak smacznie wyglądającej - bułeczki lub B- wytrzymać do końca dnia z odgłosami przypominającymi warczenie. I teraz mała wiadomość dla nauczycieli: drodzy profesorzy, jeśli słyszycie takie dźwięki na swoich lekcjach i zastanawiacie się skąd mogą one dochodzić, to jest duże prawdopodobieństwo, że to po prostu my i nasze wygłodniałe brzuchy, wyśpiewujące, niezależnie od niezręcznej ciszy w sali lekcyjnej, utwór „Oda do głoda”.

Tak się zastanawiam po cichu czy nie dałoby się coś z tym zrobić? Może bufet też można by zrobić dwuzmianowy? Wymyślić cokolwiek, by uczniowie drugiej zmiany mieli szansę zjeść jakiś obiad, niezależnie od tego kiedy przyjdą. Bo od 15:50 do 19:05 czas jakby się zatrzymuje, a nasze żołądki chcą przysychają do kręgosłupa. Ale to tylko taka luźna propozycja, a raczej podanie pod rozwagę.

Natalia Lorek 1A

Przeładowani i wygnani.

I w końcu stało się! Dostaliśmy zaszczytnego tytułu maturzystów. Cztery lata minęły jak z bicza strzelił. Ale... nasz tytuł kojarzy się teraz z wygnańcami ze szkoły. Nasze głowy dymią, a zwoje się przegrzewają od nadmiaru wszystkich spraw. Otóż, na rozpoczęciu roku szkolnego doznaliśmy szoku. My, uczniowie, którzy zapisywaliśmy się do tej szkoły z myślą, że to do niej będziemy chodzić przez następne cztery lata, nagle - jak się okazało - musimy wędrować do innych szkół, których położenia totalnie nie znamy.

Na pytanie „dlaczego akurat my?” odpowiedź była jasna: „Macie tam praktyki”. No cóż, my akurat nie i przypuszczam, że nie tylko my. Podczas gdy większość klas drugich i pierwszych technikum, a nawet trzecich (nie wspominając już o pierwszych i wszystkich klasach liceum) uczą się normalnie w budynku Gastronoma, my biegniemy do innej szkoły przez połowę miasta, a czasem jedziemy dwoma autobusami. Ciekawie zaczynają się lekcje prawda? Można powiedzieć, że poranny jogging. Może by i nie było tak źle, bo niby jak u Pana Boga za piecem, siedzenie w jednej sali czy nie przebieranie butów, ale... Tak, zawsze jest jakieś „ale”. Siedzenie w jednej sali cały dzień może przyprawić o depresję, zastanie nóg i kręgosłupa. Możemy wychodzić tylko do toalety czy automatu, o zacerpnięciu świeżego powietrza czy spacerze po „tej innej” szkole nie ma nawet mowy. Ileż można chodzić do łazienki czy automatu? Atmosfera w pierwszych dniach nie była też zbyt przyjazna. Przyjęto nas tam tak, jakbyśmy byli winni, że musimy tam chodzić. Na wstępie drzwi do szkoły były zamknięte, nagle okazuje się, że uczniowie Gastronoma nie dostąpią zaszczytu wchodzenia głównym wejściem, tylko szatniami, kuchnią, jakimś bocznym wejściem, którego nikt nam nie potrafił wskazać, a jak już znaleźliśmy, to było zamknięte. Okazało się też, że jednak nie możemy korzystać z automatu, bo nie jest dla nas, korytarz również. Tylko uczniowie „Sybiraków” mają ten przywilej. Niemiła sytuacja

spotykała nas, gdy każde nasze przejście korytarzem było krytykowane, a chcąc wyjść po skończonych lekcjach zastawaliśmy niespodziankę- drzwi zamknięte i przesłuchanie czy skończyliśmy lekcje.

Nasz wspinała Pani Dyrektor po usłyszeniu tych informacji od razu zareagowała i teraz możemy już normalnie korzystać ze wszystkiego, wchodzić i wychodzić ze szkoły bez obawy zamkniętych drzwi. Bardzo za to dziękujemy. Przez jakiś czas naprawdę było dobrze, dopóki przez okna z kratami nie zaczęło nas razić słońce prosto w oczy, przez co nie możemy się skupić na nauce. Otwarcie okna też jest problematyczne, gdyż co chwile słychać krzyki musztry uczniów szkoły wojskowej, co nas bardzo rozprasza, a na to nie możemy sobie pozwolić, bo lekcje mamy teraz naprawdę ważne, musimy wszystko ogarnąć do matury. Nie wspominając już o nieustannym ukropie w Sali pomimo pootwieranych na oścież okien. No i też, jak jesień to jesień, zaczął padać deszcz. Mokra parasole, buty, kurtki, gdzie my mamy to powiesić? Wszystko siedzi z nami w ławkach. Okazało się też, że musimy nosić tam też buty na przebranie, których nawet nie mamy gdzie przebrać, bo nie mamy szatni. Noszenie butów ze sobą, a lekcje mamy nie tylko raz w tygodniu, jest delikatnie problematyczne. Praktycznie codziennie musielibyśmy je nosić, a nasze plecaki nie są takie lekkie jakby się mogło wydawać i nie ma w nich dużo miejsca.

Mamy nadzieję, że wrócimy do naszego poczciwego budynku szkoły od przyszłego półrocza i będziemy mogli uczyć się u nas, w naszych warunkach i spokojnie bez niemiłych sytuacji, noszenia wszystkiego ze sobą, depresji i zastanych gości, a także rozpraszania i omijania nas ważnych informacji, gdy jesteśmy poza szkołą. Jesteśmy czasem do tyłu z informacjami, a te dla nas są dosyć istotne. Mamy teraz naprawdę sporo nauki, egzaminy zawodowe już niebawem, matury zbliżają się wielkimi krokami. Jesteśmy przeładowani, nie mamy chwili wytchnienia. W szkole nauka, w domu nauka do nocy. Nie mamy chwili dla siebie. I tu ogromna prośba do naszych profesorów, dajcie nam chociaż jeden tydzień wytchnienia od sprawdzianów, żebyśmy mogli odpocząć, naładować baterie, które coraz bardziej zbliżają się ku wyczerpaniu. My wiemy, że to normalne i że czas goni, ale miejcie też świadomość tego, że też chcemy chociaż chwilki dla siebie, żeby wszystko uporządkować i odprężyć nasze mózgi, żeby lepiej przyswajały wiedzę. Od dawna wiadomo, że zmęczenie nie wpływa dobrze na przyswajanie wiedzy. Do zobaczenia (może) w szkole.

XxX

Rajd Beskidników okiem pierwszaka

Początek roku szkolnego, a tutaj proszę! Już wycieczka! Ilu uczniów, tyle odczuć i emocji związanych z tym wydarzeniem. Jedni ucieszeni z powodu braku lekcji, które czasami bywają trudne do przetrwania, drudzy narzekają i marudzą, że będą musieli się uczyć jakiś bezsensownych pytań i pocić pod górę. A jeśli przyjmiemy, że się nauczą, to będzie to wyglądało tak jak z większościami sprawdzianów. Mowa tu o zasadzie, którą każdy z nas zna i choć raz w życiu ją zastosował. Dla tych którzy nie wiedzą, to właśnie reguła „ZZZ” (zakuć, zdać, zapomnieć). O ile w ogóle ktoś będzie miał ochotę się tego uczyć. Być może liczy na farta, że jego pytanie nie zostanie akurat wylosowane bądź, że inna osoba wyręczy go w tej dziedzinie. Kolejna grupa uczniów - szkolne kujony - jest zbulwersowana, że w tym dniu nie odbędą

się kolejne lekcje i, że zostaną pozbawieni szansy zgłoszenia się do odpowiedzi, zabyśnięcia swoją wiedzą, którą szlifowana do późnych godzin nocnych, pozbawia ich wyjść ze znajomymi na spacer czy do kina. Są też tacy, którym jest wszystko jedno i nawet nie wiedzą, co się wokół nich dzieje, ani po co to całe zamieszanie.



Na dwa tygodnie przed, lekcje przerywały komunikaty z radiowęzła. Jedna z koleżanek usłyszawszy charakterystyczny dźwięk zapowiadający komunikat podskoczyła i o mało nie spadła z krzesła. Dowiedzieliśmy się wtedy o składce na kapustę. Po klasie chodziły pytania: „Na kapustę?!”, „Czy oni zwariowali?! Po co komu kapusta na rajdzie?!”. Jak się potem okazało, była to zbiórka po prostu na bigos. Uczniowie dzielili między sobą pytania z poszczególnych konkurencji. Każdy chciał mieć jak najłatwiejsze, więc do tych trudniejszych nie było chętnych, ale w rezultacie po długich negocjacjach udało się wszystkim przydzielić zadania. Niekoniecznie z zasadami sprawiedliwości, ale jak to jedna z osób w szkole mówi: „Sprawiedliwości na tym świecie nie ma”. W niektórych klasach piosenki były pisane dzień przed rajdem, u niektórych po drodze na Przehybę, lecz niczym nie różniły się od tych pisanych dużo wcześniej. Można śmiało powiedzieć, że w każdej z piosenek było coś wyjątkowego. Prawdopodobnie zaangażowanie każdej osoby, która chciała by wszystko wyszło jak najlepiej, czyli wychowawcy.



Kto by się spodziewał, że mimo takiego stękania z niechęcią, Rajd Beskidników spotka się z takim pozytywnym odzewem! Dziękujemy za miło spędzony czas i udaną integrację pierwszoklasistów. Z pewnością bigos na Przehybie, który był równie dobry jak ten opisywany w epopei narodowej autorstwa Adama Mickiewicza, dobrze im zrobił. Wielkim zdziwieniem było to, że większość uczniów jeszcze w autobusie podczas jazdy na miejsce rozpoczęcia marszu, zadeklarowała, że nawet nie tknie się tej potrawy, ale ostatecznie wszystkim trzęsły się uszy, gdy tylko skosztowali smaku popisowego dania. Już wiemy na czym wzorowała się nasza pani kucharka. Z pewnością

czytała „Pana Tadeusza” nie raz. Ku naszemu zdziwieniu pogoda bardzo dopisywała. Ale ci, którzy nie mieli na co narzekać stwierdzili że pogoda jest zbyt umiarkowana.

Podczas pobytu na szczycie mieliśmy piękne widoki na Beskid Sądecki, po drugiej stronie na Tatry, no i oczywiście udało się zrobić kilka ciekawych zdjęć, którymi pewnie niektórzy pochwalą się w mediach społecznościowych, takich jak Instagram czy Facebook. Klasy pierwsze śpiewały piosenki które zachwycały, a w niektórych klasach słychać było gitary, tudzież inne instrumenty. Dla przykładu, czas po drodze do schroniska umilały klasie 1a piosenki grane na gitarze przez lubianego anonimowego gitarzystę. Konkurencje dały uczniom szansę zdobyć wiedzę (bądź jej brakiem), i były odpowiednio punktowane. To nic, że jedna z klas, z rozszerzoną geografią, wyłożyła się na pytaniu właśnie z tej dziedziny, a dokładniej na kierunkach geograficznych. Od tej pory północ jest na południu, natomiast południe na północy.



Za to znakomicie poradziłyśmy sobie w innych zadaniach. Jednym z wymogów była dobrze zaopatrzona apteczka, więc jedna z klas dzień przed tym wydarzeniem z wielkim zaangażowaniem zbierała ekwipunek, tak aby zdobyć jak największą ilość punktów z tej konkurencji. Ku ich wielkiemu rozczarowaniu, apteczka była sprawdzana tylko z zewnątrz, a ich wysiłek poszedł w pewnym sensie na marne. Następnym razem będziemy już wiedzieć, że apteczka w środku może być pusta, a większe starania należy włożyć w inne punktowane konkursy. Niestety, osoba która nieszczęśliwym trafem wdepnęła w bigos kolegi, nie przeprosiła właściciela obiadu za ten akt zniewagi. Mimo wadliwego mikrofonu, który trzeszczał jakby go zalano kwasem solnym, całe wydarzenie zakończyło się sprawnie, bez uszczerbków na zdrowiu, a uczniowie z uśmiechem dali się porwać melodii tańca belgijskiego. Przy tym wyszło jakieś kto ma wycucie rytmu. U niektórych jego brak, czy mylenie kroków skutkowało tym, że podeptane palce i obolałe stopy utrudniały późniejsze schodzenie z trasy.

Wszyscy z łzami w oczach (trudno określić czy z bólu czy z radości) schodzili w dół, do autokarów wspominając ten cudowny dzień. Stopy i pośladki wciąż z pewnością boją, a zakwasy nie dają spać ale za to satysfakcja buzuje w umyśle! I pomyśleć, że znaleźli się tacy szaleńcy, którzy nie wybrali asfaltowej i najkrótszej trasy. Trzeba nie mieć piątej klepki, żeby iść pod górę cztery lub pięć godzin. Dobrze, że z nami wszystko w porządku. Jeśli chodzi o nas, to następny rajd może odbyć się w kinie.

Gabriela Bocheńska 1a

Czy warto dążyć do spełnienia marzeń? – spotkanie z Katarzyną Zielińską

Znana z telewizyjnych produkcji „Barwy szczęścia” i „Zawsze warto”, sądeczanka - aktorka Katarzyna Zielińska spotkała się z młodzieżą w MOK-u. Uczniowie z naszej szkoły, pod opieką pani profesor Ewy Ciulkowskiej, mieli okazję poznać kulisy powstawania filmów i seriali, a my jako klasa dziennikarska mogliśmy nauczyć się sporządzać relację z takich wydarzeń.

Młodzież zebrała się punktualnie o godzinie 17:00 w sali kameralnej Miejskiego Ośrodka Kultury. W spotkaniu wzięli udział uczniowie klas pierwszych i klas maturalnych, którzy uczestniczą w zajęciach dziennikarskich organizowanych przez Pałac Młodzieży. Wszyscy zasiedli na miejscach na widowni, a pan Janusz Michałik - kierownik artystyczny MOK-u i współorganizator spotkania - przygotowywał oświetlenie na scenie dla aktorki. Młodzi dziennikarze czekali na przybycie artystki, która odrobinę się spóźniała. Kiedy Katarzyna Zielińska weszła do sali kameralnej, wywołała sporo pozytywnych emocji i uśmiech na twarzy uczestników. Na artystkę czekało specjalnie dla niej przygotowane miejsce na scenie.

Katarzyna Zielińska w trakcie spotkania opowiadała o swoich etapach w karierze aktorskiej. Wspominała o swoich związkach z Miejskim Ośrodkiem Kultury. To tu recytowała wiersze w przeglądach poetyckich. Zanim została aktorką poszła na studia ekonomiczne, ale od razu z nich zrezygnowała, ponieważ dostała się do Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej w Krakowie. Zdradziła również kulisy pracy na planie filmowym i serialowym oraz w teatrze. Przyszli dziennikarze słuchali wszystkiego z ogromnym zaciekawieniem.

Artystka znalazła chwilę, żeby odpowiedzieć na pytania uczestników spotkania, a ci zapytali ją między innymi o to, czy znajduje czas na podobne rozmowy z młodzieżą. - Z czasem jest różnie. Uważam, że jak można coś przekazać ze swojego doświadczenia, zapalić młodzież, żeby wierzyła w marzenia, to staram się spotykać – powiedziała Katarzyna Zielińska.



Znana sądeczanka opowiedziała o tym, jakie blaski i cienie ma zawód aktora. - Ten zawód składa się ze stacyjek. Raz robisz jakiś projekt, a za chwilę musisz trochę poczekać na następny. Każdego, kto jednak marzy o aktorstwie, namawiam, by pójść za pragnieniem. Dla mnie jest to ukochany zawód i spełnienie marzeń – dodała aktorka.

Na koniec była okazja to tego, by zrobić sobie z zdjęciem z Katarzyną Zielińską i wziąć od niej autograf, z czego skorzystaliśmy.

Maria Zięba 1Ap

Szukając dziury w całym

Więzienna toaleta

Uwaga, uwaga!!! Na pierwszym piętrze w przedostatniej kabinie w damskiej toalecie już nie jedna z nas przeżyła swój mały koszmar. Wchodząc żadna nie spodziewała się, że nie będzie w stanie już z niej wyjść... Widmo pozostania przez całą noc lub Bóg wie jak długo w toalecie było całkiem realne. Ta zacinająca się toaleta tłumaczy nasze wszystkie spóźnienia. Dlatego dziewczyny, gdy waszej przyjaciółki nie ma obok, upewnijcie się, że nie siedzi ona właśnie w więziennej toalecie i nie czeka na twoją pomoc!

Magdalena Dziedzic 1Ap

Epidemia

W niektórych uczniach na korytarzach podczas przerw pojawił się instynkt przetrwania. Nie wiemy czy to wirus czy bakteria, ale na razie nie ma na to lekarstwa. Objawami są: rozpychanie się łokciami, deptanie po butach, pociąganie z bara, nokautowanie plecakiem, agresywne pomrukiwanie pod nosem „Szybciej przez ten korytarz!”, korupcja w stylu „Dam Ci batona, jeśli mnie przepuścisz”, nagminne oszustwa wśród męskiej części uczniów „Z drogi, kobieta w ciąży idzie”. Tłumy zarażonych przerażają wszystkich, którzy walczą o przejście z jednej sali do drugiej. Jeśli zauważysz u siebie pierwsze symptomy, zgłoś się do najbliższego oddziału Polskiego Czerwonego Krzyża (gabinet pielęgniarki szkolnej). Lekarstwa nie zaaplikują, bo nikt go jeszcze nie wynalazł, ale przynajmniej będzie jedną osobą mniej na korytarzu. Czy ta epidemia kiedyś się zakończy?

Julia Surma 1Ap

Ciemności egipskie

Jakby pląg w szkole było mało, w jednej z damskich toalet, tej przy cukierni, przez trzy dni panowały ciemności egipskie! Ani poprawić makijażu, ani ułożyć włosów potarganych, jak na złość wiejącym akurat wtedy, halnym, o załatwieniu się nawet mowy nie było. Znalazło się kilka odważnych (albo zdesperowanych lub przyciśniętych do muru, które zaczynały już tańczyć twista w kolejkach do toalet na piętrze), które latarkami w swoich telefonach próbowały rozproszyć ciemności, niczym Gandalf w Morii. Efekt był opłakany, a raczej osikany. Nic tylko czekać na resztę z dziesięciu pląg egipskich. Za jakie grzechy, dobry Boże?!

Maria Zięba 1Ap

Otwarte czeluści

W czytelnicy chyba każdy był. Od początku wszystkich intrygowyły drzwi po prawej stronie. Nie było wiadomo, kto ma do nich klucz ani co się za nimi znajduje. Przez wiele pokoleń uczniów krążyły legendy o tych drzwiach. Niektóre mówiły o sekretnym przejściu do innego wymiaru, inne przekazywały pogłoski o szkolnym więzieniu dla niegrzecznych dzieci, a jeszcze inne – bardziej nowoczesne – opowiadały o prywatnym, gastronomicznym „escape room”. Ostatnio jednak zadano kłam wszelkim tym podejrzaniom, rozbudzającym wyobraźnię od wieków. Czeluści się otworzyły i ukazały... mało używaną, maleńką salę lekcyjną, najpewniej do lekcji indywidualnych. Ale nie martwcie się, że zagadka się rozwiązała, bo w tej małej sali są kolejne drzwi, okratowane...

Ciasteczkowy Potworek

Uwolnić tablicę!

Październik się zaczął, a tablicy Szkolnego Towarzystwa Miłośników Czystości Języka Polskiego, która zawsze stała w sieni, jak nie było, tak nie ma. Na początku myśleliśmy, że nie wróciła

z wakacji, zabalowała gdzieś na Majorce i wracać jej się nie chce, ale z biegiem czasu zgłosiliśmy zaginięcie na policję. Śledztwo wykazało, że tablica została uprowadzona i jest przetrzymywana przez nieznaną sprawców w arsenale profesora od musztry wojskowej. Dodatkowo, odbicie zakładniczki utrudnili więźniowie sądeckiego zakładu karnego, którzy chyba na złość zamalowali zamek farbą olejną. Drzwi do arsenału są pancerne, więc bez interwencji brygady antyterrorystycznej się nie obejdzie.

AKTUALIZACJA: Zakładniczka jest już w rękach rodziny i bliskich, cała i zdrowa. Akcja odbicia tablicy z rąk porywaczy, z pomocą oddziału antyterrorystów, odbyła się w trakcie próbnej ewakuacji. A wy nadal myślicie, że to był alarm przeciwpożarowy? Ej dzieci, dzieci.

Miłośnicy

Wszelkich Szkolnych Pomysłów Wylęgarnia

Od września dało się wyczuć drgania podłogi. Epicentrum zanotowano pod gabinetem pani Dyrektor. Centrum Zarządzania Kryzysowego wszczęło śledztwo. Początkowo podejrzewano krecie podkopy od strony sali gimnastycznej, jednak dalsze poszlaki skierowały nas do magazynu, pod dyrektorskim gabinetem, który - jak się okazało - został po roku starań wyżebrany i służy Uczniowskiemu Bractwu Ciętej Riposty z Mocno Ograniczoną Odpowiedzialnością oraz innym podejrzany typom. Widać dołki kopią, aż im się uszy trzęsą. Tylko czekać jak się stamtąd coś wylęgnie.

Dzieci Wylęgarni

Samson i Dalila w Koszycach.

Mam przyjemność jeździć do opery z Piątkowym Towarzystwem Operowym, odkąd jestem tutaj w tej szkole i za każdym razem ilekroć jadę, nie żałuję ani jednej chwili. Samo miejsce, wnętrze opery, zachwyca i zapiera dech, a sam występ potrafi wywołać niesamowite uczucia. Niedawno miałam okazję wybrać się po raz kolejny do opery, tym razem na Słowację do Koszyc. Termin był zapowiedziany już we wrześniu, a po dwóch



tygodniach od zapowiedzi, profesor Żebrak, powiedział, że trzeba się spieszyć z rezerwacją miejsc, bo - jak nigdy w historii Towarzystwa - było więcej chętnych niż w ogóle zakupionych biletów. Nawet się nie zastanawiałam czy chcę jechać, bo i tak odpowiedź była oczywista. Muszę! Bardzo chcę jechać! No i się udało! W momencie wpisania na listę, zaczęło się polowanie na krecję do opery, bo pani profesor Tobiasz zrobiła nam smaka na

elegancję najwyższych lotów czyli długie wieczorowe suknie. Wyjście w zwykłej "kiecce" byłoby grzechem, zwłaszcza, że mieliśmy się pokazać za granicą.

Czas minął szybko i w końcu nastał upragniony dzień wyjazdu. Prawie trzygodzinna droga niesła ogromne wyzwanie dla mojej fryzury, bo jak już wyglądać, to zjawiskowo. Na szczęście, moje włosy w miarę dobrze zniosły całą drogę, nie powiem, że rewelacyjnie, ale zawsze mogło być gorzej. Trzy godziny to i tak niewiele w porównaniu z pięciogodzinnymi przejazdami do Opery Śląskiej w Bytomiu, do której dotąd jeź-



dziliśmy. Już w samych Koszycach postój w „Macu”, który stał się już chyba tradycją. Później przebie ranki w busie i najszybszej restauracji... Swoją drogą, musiało to wyglądać śmiesznie z perspektywy osób tam pracujących, gdy grupa ludzi nagle wparowuje do restauracji, później wychodzi, by znow wejść z

jakimiś torbami, ażeby na końcu wyjść jak na rewię mody... Bo tak zresztą wyglądaliśmy – zjawiskowo! Krocząc dumnie główną ulicą, zwracaliśmy uwagę niejednego przechodnia. A zresztą, miasto też budziło zachwyt! Zwłaszcza wieczorową porą. Coś pięknego! Gdy tak szliśmy głównym placem, w tle rozbrzmiewały klasyczne nuty z grających fontann. Wyglądało to tak, jakbyśmy tworzyli jeden obrazek... Baśniowa sceneria, a przynajmniej z filmów z epoki. Pamiątkowe sesje zdjęciowe nie miały końca, ale w końcu możemy uroczystie wejść do głównego celu naszej podróży.

Budynek w środku zapierał dech. Złoczone elementy, przepiękne kryształowe żyrandole, czerwień aksamitu... Było cudownie, aż brak słów, aby to wszystko opisać. Spektakl operowy, choć byliśmy nastawieni bardziej na kostiumy z epoki starożytnej, był utrzymany we współczesnej aranżacji. I pomimo niezrozumiałego języka, muzyka i bardzo realistyczna, odważna gra aktorska, trafiały prosto w serce... Nie da się opisać wrażeń, jakie ten spektakl we mnie wywołał. Trzeba po prostu tam być, przeżyć to, chłonąć to całym sobą i po prostu to poczuć. By się przekonać, musisz z nami jechać następnym razem.

Wiktoria Fyda 2i

Piątkowe Towarzystwo Operowe pierwszy raz za granicą!

Liceum nr V już na samym początku to ma atrakcje! Spodziewałem się jakichś nudnych wykładów i przemówień, mających poniekąd „dodać nam odwagi w nowej szkole”. Zamiast nich, już 3 września, dostaliśmy propozycję wyjazdu. I to

nie byle jakiego i nie od byle kogo! Na pierwszej lekcji religii dowiedzieliśmy się, że w szkole działa Piątkowe Towarzystwo Operowe, któremu szefuje nasza Pani Katechetka. Akurat rekrutowała chętnych na wyjazd do opery w Koszycach. Powiem szczerze – zaskoczyło mnie to! Od gadania od razu chętni przeszli do zapisywania się na listę, nie było miejsca na zwlekanie. Zostaliśmy poinstruowani co do ubioru, zachowania i manier podczas takiego wyjazdu i - o dziwo – jak zawsze narzekamy na eleganckie stroje, tak wtedy nie usłyszałem żadnego sprzeciwu. Szok! Nie muszę chyba mówić, że wszyscy wyczekiwali z utęsknieniem 25 października, był to bowiem pierwszy wyjazd zagraniczny, mogę już chyba tak je nazwać, naszego Towarzystwa.

W dzień wyjazdu pogoda udała się wyśmienicie! Końcówka października, niedługo listopad, a na termometrze prawie 20°C. Ktoś chyba to wymodlił. Mimo, iż chłopcy przyszli na zbiórke już ubrani na elegancko, jakoś wytrzymali podróż autokarem, choć łatwo nie było. Krążą plotki, że pewna osoba wychodząc z pojazdu miała na garniturze ślady szminki! Nie ma co się dziwić, panowie byli odstrzeleni tak, że żadna dziewczyna nie mogła się oprzeć, i vice versa. Panie prezentowały się zachwycająco, zwłaszcza, te, które dały się skusić namowom Pani Tobiasz, by założyć długie suknie. Po drodze jakoś tak pusto było na tej Słowacji – pole, pole, łyse pole! Brakowało tylko jakiejś śpiewanej chałtury na poprawę nastroju, każdy zajmował się swoimi sprawami, ale i tak było miło. Za to po dotarciu na miejsce powitała nas nasza ulubiona atrakcja – McDonald's! Co głodniejsi ruszyli w te pędy po ulubione jedzenie, w środku, ku zaskoczeniu wszystkich, nie było elektronicznych kiosków, co zmusiło nas do dogadywania się z kasjerami (prawdziwa szkoła przetrwania za granicą). Jeden z nich miał na imię Patko, drugi Gabi. Byli bardzo uprzejmi i po trudnościach ze znalezieniem wspólnego języka, dostarczyli nam upragnione Fast-foody. Jedzenie smaczne i niezdrowe, nikt nie żałował sobie miejsca w żołądku.



Pomijając drobny szczegół dobrania tak ekskluzywnej restauracji do naszych strojów. Dodatkowo widok umilili nam gustowni panowie, którzy przy lokalnym przystanku autobusowym „zerowali” słowacką śliwowicę, co spotkało się z nie lada podziwem wśród pewnych osób, nawet Panu Profesorowi zakreśliła się muszka! Po krótkiej przechadzce ulicą Młyńską, pełną urokliwych kawiarenek i akurat podczas pięknego zachodu słońca, przyprawiającego o zachwyt, tak, że nawet Pan Profesor Żebrak się wzruszył, dotarliśmy przed budynek opery. Przerwa na kilka zdjęć – widokówek, jak również męskich i damskich pokazów mody. Dwoje naszych opiekunów ulotniło się po bilety dla nas (Dobrze, że poszli wcześniej, bo okazało się, że kasa

biletowa była czynna tylko do 17:30. Gdyby nie przezorność starszych wiekiem i doświadczeniem, nie obejrzelibyśmy spektaklu), a my podziwialiśmy rynecek i operę. Majestatyczny budynek przy pięknym deptaku z podświetlaną fontanną, do tego romantyczna muzyka puszczana z głośników. Cud, miód i piękne dzwoneczniki. Pobliski gotycki kościół przyprawiał o gęsią skórę swoim ogromem (wielka szkoda, że nie mieliśmy okazji go zwiedzić). Niektórzy uczestnicy czuli się w atmosferę i zaczęły się tańce: walc angielski. Nie ma co się dziwić! Ukradkiem czekałem aż profesor Żebrak zatańczy z profesorką Tobiasz, ale jakoś nie doszło to do skutku. Z pewnością wszyscy by klaskali!

Po bajkowej i romantycznej chwili, przyszedł czas na właściwą część naszej podróży. Wejście do opery wprowadziło nas do dużej sali, skąpanej w złocie i bieli. Spojrzenia obsługi spoglądającej na nasz młody wiek, nienaganny ubiór i sam fakt, że zajęliśmy najlepsze miejsca, czyli balkon prezydencki, sprawiły, że poczuliśmy się bardzo elegancko, a w niektórych wstąpił dystygowany duch. Już wcześniej tak się czuliśmy, aż kręgosłupy same tak jakoś się prostowały, ale w samej operze, to elegancja unosiła się w powietrzu. W przerwach panowie towarzyszyli paniom, adorowali, komplementowali, snuli się po operze służąc ramieniem każdej napotkanej damie. Coś niesamowitego! Sam spektakl był dość trudny w zrozumieniu, jako że napisy były po słowacku, a aktorzy śpiewali po francusku, jednakże nie zakłóciło to czerpania przyjemności z gry scenicznej. Nie chcę wam, drodzy czytelnicy, zdradzać szczegółów, natomiast zachęcam do wzięcia udziału w wiosennym wyjeździe Piątkowego Towarzystwa Operowego, najpewniej znów do Koszyc! Gwarancja niezapomnianych przeżyć w cenie!

Kamil Peciak 1a

Kącik poetycki

Ból

I choć życie niesie ból i cierpienie,
jest tak krótkie.

Za krótkie by tylko jęczeć,
za krótkie by tylko gnąć i nie więcej.

Zbyt ulotne, by narzekać,
zbyt wielkie, by tylko czekać.

Bo oto my zamiast

plakać ze szczęścia, zamiast się kochać i się radować, zamiast się bawić i wszystko wkoło rozwalić,
my musimy tylko narzekać.

Nina Brzóska 1a

Przez krew do wolności

Polsko, coś jest jak słońca zachód kojący,
Dajesz mi miłość, zdrowie i dumę patrioty.
Nie znajdziesz na ziemi piękniejszej cnoty,
Niż odwaga, by Cię bronić w ciemnej nocy.

Wydarta z rąk człowieka bez litości,
Rozdarta między okrutnych zaborców,
Na darmo było wyklinanie morderców.
Nie ma miary krew przelana w wolności.

Ojczyzno ma miła,
Strzec Cię będziemy na dobre i na złe!
Nie będzie żadna twierdza nam przeszkodą,
Nie stanie naprzeciw nam żadna armia,

Której Polak nie podola, zaklinam na Boga!
Kamil Peciak 1a

Kącik czytelnika

Śmieszna, kolorowa okładka? - chętnie przeczytam! Szukając prezentu dla siostry znalazłam książkę idealną: „Jak mniej myśleć. Dla analizujących bez końca i wysoko wrażliwych” autorstwa Christel Petitcollin. Oczywiście do kupienia lektury zachęcił mnie śpiący leniwiec z okładki.



Zdarza Ci się myśleć za dużo? Zadasz sobie za dużo pytań? Czujesz się niezrozumiany i nie możesz znaleźć sobie miejsca? A może masz ochotę czasami wyłączyć swój umysł?

Jeśli któreś z tych pytań dotyczy Ciebie, koniecznie sięgnij po tę właśnie książkę.

„Do tej pory twój niesforny umysł wiódł cię po wertepach. Czas jednak, abyś przejął stery, i to już od dziś.

Dzięki tej książce nauczysz się wykorzystywać niezwykle możliwości swojego umysłu, który wcześniej wydawał się nie do ogarnięcia! A do tego poczujesz ulgę i wreszcie odetchniesz pełną piersią, akceptując siebie i swój fantastyczny umysł.” No to ja już się uczę, jak mniej myśleć.

Anna Frączek 2a

Kącik cukiernika

Jesień już zawitała pełną parą. Kolorowo i bajecznie, czyli nasza polska jesień. Aura jaką roznosi ze sobą ta pora roku jest niesamowita, wszystko jest takie inne. Dni chłodniejsze, a wieczory spędzone przy kominku z gorącą herbatą i ciastem w dłoni. Dynie, to chyba właśnie najbardziej charakterystyczny element tej pory roku, a wypieki z niej, są jeszcze lepsze. Łatwe, szybkie i



proste. Przekonajcie się sami.

Składniki:

- 2 szklanki dyni startej na jarzynowej tarce
- 1 szklanka cukru
- 3 jajka
- 3 łyżeczki cynamonu
- 1 łyżeczka sody

1 cukier waniliowy

3 szklanki mąki

1 szklanka oleju

Przygotowanie:

Jajka ubijamy z cukrem, dodajemy olej, mąkę, cukier waniliowy, sodę i cynamon.

Wszystkie składniki mieszamy mikserem, a na końcu dodajemy dynię i delikatnie mieszamy całość łyżką.

Wlewamy gotowe ciasto do foremki wysmarowanej masłem i wysypanej mąką, a następnie wkładamy do nagrzanego piekarnika-180 st. C i pieczemy 50 minut. Po przestudzeniu posypujemy cukrem pudrem. Smacznego!

Gazetkę redaguje i wydaje Uczniowskie Bractwo Ciężkiej Riposty
z Mocno Ograniczoną Odpowiedzialnością
w składzie:

Redaktor Naczelny: Wiktoria Fyda

Wielki Cenzor: mgr Władysław Żebrak

Nadzwyczajny Koordynator: mgr Anna Tobiasz

Redaktorzy:

Kamil Peciak, Alina Leśniak, Nina Brzóska, Anna Frączek, Dorota Wolak,
Sara Kalisz, Maria Zięba, Julia Surma, Gabriela Bocheńska, Kacper Surma,
Natalia Lorek, Magda Dziedzic, Małgorzata Gieniec, Rita Padula i inni.